

O stuleciu "Tribius circiter", dramacie Kościoła w Królestwie Polskim i niełatwym dialogu ekumenicznym. Z Tomaszem D. Mamesem, pracownikiem naukowym Instytutu Nauk Humanistycznych AWF w Krakowie i doktorantem w Instytucie Religioznawstwa UJ, rozmawia Krzysztof Mazur.

Krzysztof Mazur - Z reguły jubileusz jest okazją do radosnego świętowania. Jak obchodzono stulecie samodzielności konfesyjnej mariawityzmu?

Tomasz Mames - Jubileusz powstania mariawityzmu minął w roku 1993r. - w rocznicę pierwszego objawienia, czyli powierzenia Marii Franciszce Kozłowskiej *Dziela Wielkiego Miłosierdzia*. W roku 2006 minął zaś wiek samodzielności wyznaniowej mariawityzmu (w roku 2009 przypadnie stulecie samodzielności eklezjalnej ruchu mariawickiego). Mówię o tym, gdyż w relacjach pomiędzy tymi wydarzeniami jest pewien paradoks: choć historycznie są one bardzo ściśle powiązane, to jednak, w odniesieniu do ich treści, należałoby rozważać je oddzielnie. Czym innym bowiem jest jubileusz *Objawień* - to rocznica chwalebna, radosna, bo dotyczy dania światu *Dziela Bożego Miłosierdzia*, powołania do wzniesienia kleru ku wyżynom duchowości, a poprzez to - do pobudzenia duchowego świeckich, czyli Kościoła. Tak radosną jest rocznica otrzymania przez mariawitów sukcesji apostołskiej (Utrecht 1909r.). Dzięki temu mariawici uzyskali pełnię *kościelności*, dzięki której można było świecić nowych diakonów, kapłanów, konsekrować świątynie, a niebawem udzielać sakry wewnątrz Kościoła.

Natomiast smutną jest rocznica samodzielności wyznaniowej, bo trudno cieszyć się odrzuceniem *Dziela Wielkiego Miłosierdzia*, i nałożenia na mariawityzm klątwy, która zamiast - jak zakładano - wymusić posłuszeństwo, doprowadziła do rozłamu w polskim Kościele rzymskokatolickim.

Nie, rocznica klątwy papieskiej zdecydowanie nie mogła być okazją do radosnej fety - była zaś okazją do chłodnej, spokojnej refleksji...

Co nie przeszkadzało, aby obchody tego jubileuszu miały wszelkie cechy radosnego festynu...

Rozumiem pańskie zdziwienie... Bez trudu przecież można wymienić jednym tchem pontyfikalne Msze święte w poszczególnych parafiach, okolicznościowe akademie, różne pamiątki. Jednak od tego wszystkiego - dla mnie i, jak myślę, dla przeważającej części mariawitów - przynajmniej dla mnie - ważniejsza była istota tych uroczystości: dziękczynienie Bogu za wiek istnienia poszczególnych parafii i naszej wspólnoty. Skupiano się więc nie na momencie jej wyodrębnienia się (czy raczej jej wyrzucenia) z macierzystego Kościoła, lecz na - w przenośni i dosłownie - ciernistej drodze, którą przebyliśmy. Mówiąc to, mam na myśli atmosferę obchodów rocznicy w Kościele Starokatolickim Mariawitów, gdyż Bracia i Siostry z Kościoła Katolickiego Mariawitów z nieznanymi mi powodów "przemilczeli" ten jubileusz.

Warto w tym miejscu odnotować tak znaczące wydarzenia jak Sympozjum w Łodzi, arcyinteresujące rekolekcje parafialne w Mińsku Mazowieckim czy rekolekcje zamknięte w Łowiczu, ponieważ fakt ich odbycia jest ledwie małą częścią intelektualnych i duchowych rozbudzonych aspiracji naszego środowiska. Atmosfera w trakcie tych wydarzeń w sposób jednoznaczny pokazała skalę "niedosytu" refleksji nad dorobkiem duchowym mariawityzmu oraz dramat, jaki był udziałem Kościoła katolickiego w Królestwie Polskim ponad sto lat temu.

Zatrzymajmy się na moment nad owym dramatem: dobrze, czy źle się stało, że mariawityzmu poszedł własną drogą?

Po pierwsze, jeśli poszedł, to przecież nie dobrowolnie, bo mariawityzm był (i nadal jest) ideą uświęcenia Kościoła Powszechnego, a nie tylko samego siebie. Po drugie, aby ta refleksja była twórcza, nie można stawiać kwestii: dobrze, czy źle się stało, że mariawici wytrwali przy powierzonej sobie Bożej misji. O wiele bardziej potrzebna i twórcza byłaby dyskusja nad problemem, o sposobach zniwelowania złych skutków wyrzucenia mariawitów z Kościoła rzymskiego - złe dla obu stron, bo rozłam był dramatem i dla mariawitów, i dla Kościoła macierzystego.

Czy można było tego dramatu uniknąć?

I tak, i nie... Do roku 1905 zdecydowanie tak...

Aż do roku 1905? - przecież już we wrześniu 1904r. dekret papieski rozwiązywał Zgromadzenie Kapłanów Mariawitów...

... rozwiązać można coś, co wcześniej zostało zatwierdzone. A to tylko jeden z wielu ewidentnych błędów popełnionych przez papieństwo przy rozpatrywaniu sprawy mariawickiej.

Mówię o roku 1905, jako pewnej cezurze, bo mimo dekretu kasacyjnego kapłani Mariawici wiele robili dla podtrzymania dialogu z Kurią Rzymską, ufając słowom oficjeli watykańskich o możliwości polubownego zakończenia konfliktu z

polskimi biskupami. A takie zapewnienia padały w czasie, gdy (od sierpnia 1905r.) kapłani Mariawici, w miarę nasilania się represji przeciw nim, zaczęli wypowiadać posłuszeństwo ordynariuszom.

Mimo tego, co działo się w Polsce, liczone na sprawiedliwy osąd papieża sprawy dobrej i świętej. Myślę, że bardzo duża część winy za doprowadzenie do rozłamu obciąża hierarchów polskich, którzy unikali dialogu z Mariawitami, żądając od Watykanu jedynie szybkiej stanowczości. Żądali jej tym natarczywiej, gdy przekonali się, że ich wysiłki na rzecz spacyfikowania "zbuntowanych księży", jak nazywano Mariawitów, obraca się przeciw nim samym...

Moment... Jakkolwiek by nie oceniać pobudek pierwszych Mariawitów, wyłączając się spod władzy biskupów naruszali jeden z głównych filarów Kościoła hierarchicznego - ślub posłuszeństwa! Nic dziwnego, że biskupi, wierny im kler, prasa i środowiska "przykościelne" bez pardonu zaatakowały mariawityzm, przypisując związanym z nim księżom jak najgorsze cechy: od nieuctwa, przez "choroby umysłowe, herezję, po wybujałą miłość własną, a nawet zdradę narodową.

Z jednej strony mamy wspólnotę kapłanów z powodzeniem realizujących ideał duszpasterza - społecznika, a z drugiej resztę kleru, która nie potrafiła, bądź nie chciała dostrzec problemów współczesnego im świata. A przecież z tych problemów brał się kryzys postaw etycznych i ludu, i kleru parafialnego. Złą normą był serwilizm w relacjach plebania - dwór (czego liczne przykłady są w polskiej literaturze przełomu XIX i XX). Z drugiej strony hołdowano, sam Pan Bóg raczy wiedzieć gdzie mającemu swe źródło (bo na pewno nie w Ewangelii) przeświadczeniu, że owczarnia jest dla pasterza, a nie pasterz dla owczarni! Mariawici łamali te "normy" odrzucając i głośno potępiając wypaczenia pleniące się wśród konfratrów. Ich "pańskiemu stylowi" życia przeciwstawili prostotę i ascezę, a ospałości w "sprawach Bożych" - wielką gorliwość i aktywność duszpasterską.

Nazywający pierwszych Mariawitów nieukami "strzelali sobie w kolano", bo przecież wielu spośród księży związanych z ruchem, dla bystrości umysłu i przymiotów ducha byli przez biskupów wysłani do petersburskiej Akademii Duchownej, a pozostali byli absolwentami seminariów diecezjalnych - wielu z czołowymi lokatami.

Argument o propagowaniu poglądów heretyckich pojawił się bezpośrednio przed kłutwą papieską, a użyto go dla postraszenia ludu garnącego się do Mariawitów. Tyle, że - ani w Polsce, ani w Rzymie - nigdy nie wskazano konkretnej nauki, czy praktyki pobożnościowej, która była sprzeczna z nauką i tradycją Kościoła rzymskokatolickiego, bądź została wymyślona przez Mariawitów. Nikt też kanonicznie nie zbadał treści *Dzieła Wielkiego Miłosierdzia*, ani Założycielki - bo trudno za wnikliwe rozpoznanie ducha Mateczki uznać w sumie krótką rozmowę z delegatami biskupa płockiego, która miała zgoła inny cel.

Wręcz historyczna reakcja polskich biskupów była tym bardziej niezrozumiała, że "tępiono" nie tych ospałych, czy złego prowadzenia księży, a tych, którzy bez reszty oddali się spełnieniu swego powołania!

Nie z powodu gorliwości byli "solą w oku" biskupów, a nieposłuszeństwa wobec nich...

Daleko bardziej, niż "sól w oku" pasuje tu określenie "wyrzut sumienia". Mariawici udowodnili bowiem, że gdy się bardzo chce, można iść w ślady Apostołów nawet w realiach kraju zniewolonego. Owszem, z punktu widzenia prawa kanonicznego złamali zasadę posłuszeństwa biskupom, ale przecież nie z niskich pobudek, nie dla fantazji! To był gest rozpacz; dramatyczne w formie, ale jednak wyznanie wiary w świętość Kościoła i nieomylność papieża, bo od niego wyglądali sprawiedliwości... Stało się inaczej... Mariawici byli winni tego, że posłuszeństwo woli Bożej postavili ponad posłuszeństwem ludziom...

Do roku 1904 Mariawitów zapraszano jako rekolekjonistów w seminariach, o. Honorat Koźmiński (już po rozłamie!) nazwał ich "kwiatem kleru polskiego". W ciągu dwu lat z księży podziwianych za osobistą świętość, stali się "zakałami" stanu kapłańskiego, wrogami Kościoła - dlaczego?

Szykany zaczęły się po oficjalnym ujawnieniu misji Marii Franciszki Kozłowskiej - oficjalnym, ponieważ część biskupów była o nich informowana od początku, jak choćby bp J. Nowowiejski, aspirujący do roli przewodnika duchowego Mateczki. Jednak zdecydowana większość członków Zgromadzenia nie miała pojęcia o *Objawieniach* i roli Marii Franciszki - to charyzmat konwentu i styl życia Mariawitów skłonił wielu księży do przyłączenia się do nich...

Dlaczego ujawnienie roli Marii Franciszki wpłynęło na tak radykalną zmianę oceny mariawityzmu?

Bo była kobietą - tylko tyle i aż tyle...

W dziejach Kościoła Zachodniego było wiele świątobliwych kobiet - w tym także Doktorów Kościoła...

... cztery kobiety na dwa tysiące lat chrześcijaństwa! Mimo deklaracji i wolt teologicznych Kościoła katolicki nie wyzbył się przeświadczenia o fatalizmie pki niewieściej. Przecież jeszcze w XIX w. wielu speców od wychowania twierdziło, że

edukowana kobieta jest tyle warta, co wykształcona krowa. Kobieta miała być podporządkowana systemowi, w którym funkcjonowała, systemowi przez mężczyzn stworzonemu i przez nich zarządzanemu. A tu nagle pojawia się kobieta, której wyrobienie duchowe dostrzegł i docenił o. Honorat Koźmiński, cieszący się sławą wytrawnego kierownika dusz. Za jego sprawą młodzianka dziewczyna trafiła do zgromadzenia czynnego, a że jego duchowość nie była tym, czego poszukiwała w życiu zakonnym, Kapucyn przeniósł ją do Płocka. Jako matka generalna założyła konwent kontemplacyjny, będąc jednocześnie wizytatorką lokalnych zgromadzeń ukrytych. A takich funkcji nie powierza się, przepraszam za trywializm, pierwszej lepszej zakonnicy...

Sprawy Mariawitów skomplikowały się, gdy okazało się, że założycielką męskiego konwentu była kobieta. Św. Franciszek założył nowy zakon, ale do pokierowania jego niewieścią linią zaprosił św. Klarę (tak więc mężczyzna funduje zakon męski, a niewiasta - żeński). "Grzechem głównym" Marii Franciszki było to, że dążyła do duchowego i moralnego odrodzenia kleru, co w Kościele rzymskim było (i pozostało) jeśli nie wyłączną domeną biskupów, to na z całą pewnością domeną mężczyzn. "Jakim prawem - burzono się - jakaś tam zakonnica wypowiada się w sprawach, które nie powinny jej interesować!" Ba!, nie dość, że sama wybierała księży do Zgromadzenia, to jeszcze pełniła funkcję faktycznego mistrza nowicjatu, co bez wątplenia przekraczało wszelkie granice imaginacji biskupów.

Kobiet mających przeżycia mistyczne w Polsce przełomu XIX i XX wieku było wiele, ale potępiono tylko Marię Franciszkę. W moim odczuciu dlatego, że - w przeciwieństwie do innych mistyczek - nie miała przewodnika duchowego pełniącego rolę swoistego "korektora" treści objawień.

Oto w w jednym z opracowań jej dotyczących s. Marii Faustyny Kowalskiej znalazłem taką oto opinię: "Chrystus był dla swojej uczennicy Mistrzem, nauczycielem i Oblubieńcem, którego polecenia starała się dokładnie pełnić w codziennym życiu, okazując Mu całkowite posłuszeństwo i uzgadniając Jego wolę z decyzjami przełożonych i kierownika duchowego", ponieważ "Chrystus przemawiający w jej duszy domagał się obiektywizacji wewnętrznych natchnień w kontakcie z kapłanem, którego decyzjom miała się poddać, wyznaczając tym samym drogę postępowania na przyszłość: "Idź do tego kapłana i powiedz mu wszystko, a on ci powie, co masz dalej czynić" (Dz 12)"

Czyżby osoba godna tego, by Chrystus przemówił do niej, uczynił z niej Swe "martwe narzędzie", nie była już godna, czy zdolna do samodzielnego przekazywania Jego słów i dlatego Chrystus wybrał ks. Sopoćkę, spowiednik s. Faustyny, do roli "filtra" objawień, których ona doznawała? Ocenę tej sytuacji mocno komplikuje fakt, że choć s. Faustyna była przekonana, że jej jedynym kierownikiem duchowym jest Jezus, gdy, jak twierdzi ona sama, Chrystus miał powiedzieć do niej: "kapłan kiedy mnie zastępuje, to nie on działa, ale Ja przez niego, życzenia jego są życzeniami moimi." - umartwienia i modlitwy praktykowane bez aprobaty księdza ("zastępcy") miały być mniej ważne (miłe Bogu?) niż umartwienia i modlitwy nie mające takiej aprobaty.

Błędem byłoby mniemać, że Maria Franciszka nie miała żadnych wątpliwości co do prawdziwości otrzymywanych objawień. Na polecenie o. Honorata zdawała przed nim relacje nie tylko ustne, ale też i pisemne. W jednej z ksiąg Mateczka pisze, iż czasem ma pokusę poddania w wątpliwość tego, co przeżywa nadzmysłowo. Tym bardziej, że i o. Honorat wyrażał podobną opinię odnośnie niektórych jej wizji. Pozwolę sobie zacytować ów fragment: "Z początku chcąc mnie doświadczyć [o. Honorat] odrzucił [objawienie] jako złudzenie szatańskie, poddane mi na usprawiedliwienie grzechów. Przedstawiłam to Panu Jezusowi w modlitwie, ale Pan tak mi odpowiedział: Jeżeli Ojciec mówi, że to jest złudzenie, **to mów mu wszystko, niech cię wyprowadzi ze złudzenia.** Jest twoim przewodnikiem"

Słowa te pochodzą z roku 1893, a zatem z początku objawień.

W innym miejscu Pan Jezus mówi wprost: "Ja sam chcę być mistrzem i nauczycielem twoim", ale to nie oznaczało braku obiektywizacji. W roku 1902, kiedy pojawiła się aura skandalu wokół zakładu M. F. Kozłowskiej, zapisuje ona takie słowa: "Przeznaczył mi Pan Jezus spowiednika, **kazał to wszystko, co do mnie mówi i naucza, oddawać pod Jego osąd**". A zatem nieuzasadnione jest posądzanie Mateczki o samowolę i braku obiektywizacji swych przeżyć mistycznych, a tym samym brak przewodnika duchowego. Zresztą można postawić pytanie, odnośnie przytoczonej informacji o s. Faustynie, czy ktokolwiek miał prawo uzgadniania Woli Boga z wolą przełożonych?! Powiem więcej - czy ktokolwiek miał prawo, dyskusowania z Wolą Bożą?

Dlaczego zatem o. Honorat w pewnym momencie odciął się od Marii Franciszki, przestał być jej duchowym przewodnikiem?

Niektórzy twierdzą, że Mateczka odrzuciła jego przewodnictwo - inni natomiast, że to o. Honorat rozmyślnie odsunął się od niej. Takie postawienie sprawy oznaczałoby, że albo Maria Franciszka wypowiedziała posłuszeństwo, albo Honorat nie dopełnił swoich obowiązków jako kapłan i przewodnik duchowny. A to są poważne zarzuty.

Moim zdaniem problem należałoby postawić inaczej, bowiem przytoczone przeze mnie cytaty świadczą o bezradności wobec percypowania przez penitentkę treści nadzmysłowych. O. Honorat nie mógł zaprzeczyć jej duchowemu

wyrobieniu, ale też nie umiał udowodnić, że otrzymane objawienia nie są prawdziwe. Można to odczytać, jako postawę zdjęcia z siebie przez świętobliwego zakonnika jakże kłopotliwego dla niego obowiązku. I co się dzieje dalej? - kiedy o. Honorat, jako spowiednik nie potrafił podważyć prawdziwości *Dzieła Wielkiego Miłosierdzia*, Chrystus Pan, wyznacza Marii Franciszce innego spowiednika i poleca, aby to on dokonał oceny treści *Objawień*. Tym sposobem Honorat zostaje niejako "uwolniony" od sprawy mariawickiej (co miało niebagatelne znaczenie w jego procesie beatyfikacyjnym!), a Mateczka otrzymuje jeszcze potwierdzenie prawdziwości swoich wizji.

Spójrzmy na problem z innej perspektywy. Czy może dziwić ostra reakcja biskupów, którzy w bardzo niesprzyjającej sytuacji geopolitycznej musieli bronić katolicyzmu i statusu Kościoła przed agacją caratu - przeciw dyscyplina i zgodne współdziałanie kleru i wiernych były gwarantami utrzymania "pływalności" nawy polskiego Kościoła. Pewne jest, że duża część kleru i episkopatu widziała potrzebę reformy (może inaczej realizowaną, niż czynili ją Mariawici), ale czas na jej przeprowadzenie był wyjątkowo zły... Pamiętajmy, że był czas radykalizacji nastrojów i wzrostu popularności ideologii socjalistycznej - równie źle ocenianej przez władzę świecką, jak i duchowną...

Tyle tylko, że w roku 1905 było już o wiele za późno na zastanawianie się jak postąpić z mariawityzmem. Biskupi wszystkie siły skupili na zaprowadzaniu porządku w Królestwie Polskim wedle zasady "cel uświęca środki". A jaki środek był skuteczny? Żaden, bo cokolwiek zrobili, obracało się przeciw nim! Być może przesądził fakt, że koncentrując się wyłącznie na pacyfikowaniu mariawityzmu, stracili zdolność trzeźwej oceny sytuacji.

Hierarchowie - mówiąc kolokwialnie - spanikowali i zaczęli naciskać na papieża, by wsparł ich swoim autorytetem i wymusił posłuch. Co, jak co - zapewne spekulowano - ale głos papieża, tak przecież w Polsce poważanego, na pewno "zapędzi Mariawitów do szeregu" i przywróci spokój, czyli *staus quo* sprzed roku 1903. Poza tym te naciski i ponaglenia miały swe źródła w lęku przed reakcją władz carskich...

Można zatem założyć, że pośpiech w szukaniu sposobu stłumienia "rewolty" spowodował, że popełniono wiele błędów w postępowaniu z Mariawitami, ale też formalno-prawnych nieścisłości w dokumentach dotyczących i ich, i *Dzieła Wielkiego Miłosierdzia* (nie poddano badaniu kanonicznemu Marii Franciszki, w dekrecie kasującym Zgromadzenie użyto określenia *Marianiści*, nie *Mariawici* itp.)

Co do Stolicy Apostolskiej... Z jednej strony dostojnicy watykańscy zapewniali, że już, już i papież zalegalizuje konwent Mariawitów, byle tylko okazali nieco cierpliwości, a tymczasem zamiast happy endu, dekret rozwiązujący Zgromadzenie, a później anatema... Można pomyśleć, że kurialiści, obiecując delegatom Zgromadzenia pozytywne rozstrzygnięcie, chcieli zyskać na czasie, by lepiej przygotować ostateczne rozwiązanie "kwestii mariawickiej"...

To możliwy scenariusz. Trzeba sobie uzmysłwić, jak wówczas postrzegano Polaków na watykańskich salonach - a postrzegano nas zgoła inaczej, niż dziś. W tamtych czasach obowiązywała iście feudalny ceremoniał i zwyczaje, czego przejawem była np. praktyka całowania buta papieskiego. Biskupi polscy przyjeżdżający *ad limina apostolorum* byli uważani za przedstawicieli katolickiego przyczółka w schizmatycznym Imperium Romanowów, których główną troską winna być obrona wiary oraz dbałość o dobre relacje w prawym monarchą (carem), bo tylko w ten sposób można byłoby zapewnić pomyślne trwanie Kościoła, który (o czym się dziś się zapomina) skrycie szykował się do nawracania Rosji.

Pamiętajmy też o roli, jaką odegrał kard. Jan Puzyna podczas konklawe w 1903r., gdy jako wysłannik cesarza Franciszka Józefa skutecznie zablokował wybór na papieża kard. M. Rampollego, kandydata rzymskich kurialistów. Kardynałowie ulegli tej presji i powierzyli Nawę Piotrową kard. J. Sarto - Piusowi X. A ponieważ to nasz rodak popszył szyki dworu watykańskiego, Polacy nie mieli w Watykanie zbyt wysoko notowani...

... szczególnie, gdy sprawa mariawicka przyprawiała ów dwór o silny ból głowy...

Dokładnie... Z dokumentów udostępnionych komisji mariawicko-katolickiej wynika, że o. Honorat był postrzegany jako jakiś tam szeregowy zakonnik, który w Imperium Rosyjskiego robi nie do końca jasne rzeczy i do tego nie do końca podobające się biskupom. Rzym nie orientował się ani w rzeczywistej skali ruchu zakonotwórczego w Królestwie Polskim, ani charyzmacie ukrytych zgromadzeń, ani w realnych warunkach ich działania. A że Zgromadzenie Mariawitów kojarzono ze świętobliwym Kapucynem, więc i ich starania o legalizację traktowano z wielką rezerwą. Inną przyczyną tej ostrożności była świadomość, że ta legalizacja oznaczałaby wejście w konflikt z Rosją, która - jak pamiętamy - po 1864 skazała życie monastyczne na wymarcie - a od relacji z caratem zależało położenie katolicyzmu w Rosji, i o ile Watykan mógł poświęcić coś, co mogło te relacje zakłócić - poświęcał. I kurialiści (być może mając mylne informacje z Polski o charakterze i zasięgu mariawityzmu) uznali, że lepiej będzie znieść burzące spokoj Zgromadzenie, niż "iść na wojnę z Petersburgiem".

Watykanowi nie były potrzebne żadne niepokoje w polskiej prowincji kościelnej. Poza tym pamiętajmy, że zgromadzenia honorackie były zupełnie inaczej zorganizowane, niż stałe konwenty i jak duży głos w nich mieli świeccy, czego ówczesny Kościół hierarchiczny nie aprobował.

Tuż po rozłamie pojawiły się informacje (pewniki prawie), że mariawityzm powstał z inspiracji rosyjskiej, by od środka rozsądzić Kościół rzymski...

Absurd! Powtarzam: mimo dobrych - duchowo i społecznie - skutków pracy kapłanów Mariawitów, papież i jego doradcy mieli powody bać się legalizacji Zgromadzenia ze względu na utrzymanie *status quo* w stosunkach z caratem, a sprawa była zbyt głośna, by załatwiać ją sekretnie - co nie byłoby znowu żadnym *novum*. Pamiętajmy i o tym, że wówczas w najlepsze krążyło po Europie widmo socjalizmu, a papieżowi marzył się paneuropejski sojusz dworów na rzecz zgniecenia bezbożnej ideologii...

Stawia Pan tezę, że kuria rzymska potępiła mariawityzm na zasadzie wyboru mniejszego zła, bo skutki formalnego uznania ruchu byłyby o wiele poważniejsze?

Owszem, z tym tylko, że żadnemu ze zwolenników radykalnego cięcia nie przyszło do głowy, że kler związany z mariawityzmem i wierny im lud mogą nie ugiać się przed groźbą sankcji kościelnych.

Kończąc wątek "rosyjskich inspiracji" dodam, że wyłączenie Mariawitów z Kościoła rzymskiego było jak najbardziej w interesie... Rosji, gdyż rozwój Zgromadzenia, przyłączanie się do niego kolejnych duchownych siłą rzeczy skutkowało wzrostem aktywności religijno-społecznej kleru, na czym zaborcy bynajmniej nie zależało...

Wyłączenie dawało administracji wolną rękę w postępowaniu z Mariawitami. Czy można wykluczyć, że Watykan liczył, że Rosjanie będą skłonni do spacyfikowania ruchu mariawickiego? Przecież formuła zgromadzenia ukrytego musiała budzić liczne podejrzenia, a carska *Ochrana* nie mogła być do końca pewna czym ci Mariawici tak naprawdę się zajmują! - czy aby na pewno tylko pracą duszpasterską? A może knuli jakoweś spiski niepodległościowe? Przecież nie brakowało przykładów politycznego, niepodległościowego zaangażowania kleru parafialnego i zakonnego...

Mniej więcej w tym samym czasie ks. Jerzy Matulewicz reaktywował Zgromadzenie Księży Marianów o charyzmacie podobnym do mariawickiego. On szansę otrzymał, dlaczego nie dano jej ks. Janowi Kowalskiemu?

Bo ks. Matulewicz był praktycznie sam, a za ks. Kowalskim stała silna wspólnota z Marią Franciszką w tle... Biskupów niepokoiła liczebność i dziwił zdumiewający (jak na rzeczywistość parafialną) sposób bycia, ale o wiele większy niepokój i zdziwienie wywoływała osoba, a zwłaszcza rola Założycielki.

Hierarchowie nie potrafili rozgraniczyć kwestii kapłańskiego konwentu i *Dziela Wielkiego Miłosierdzia* - a to dwie różne sprawy! Czym innym jest bowiem charyzmat wspólnoty kapłańskiej, a czym inny duchowe i moralne przesłanie *Dziela*. Mariawickie metody naprawy Kościoła były zbyt awangardowym pomysłem, jak na trydencki sposób patrzenia na świat - mariawityzm nie mieścił się w mentalności biskupów... A przecież można było nadać Zgromadzeniu status konwentu na prawie biskupim - tego akurat Rzym nie zakazywał. Jednym pociągnięciem zażegnano by konflikt, pozwolono by działać Mariawitom na rzecz wydzwignięcia kleru z duchowej zapaści i spokojnie poczekano by na zakończenie objawień Mateczki, aby na kanonicznie, spokojnie i rzetelnie je zbadać... Biskupi spanikowali, a swymi łękami "zarazili" purpuratów zza Spizowej Bramy...

To nie był czas na tak śmiałe rozwiązania, jakie promowali Mariawici?

Czas był w sam raz, tyło decydenci z innej innej epoki... Dla nich dobrym księdzem był ten, który z ganku plebanii i z wysokości ambony (trzymając dystans, by nie zbrukać kapłańskiego autorytetu) czuwał nad religijnością i moralnością parafialnej trzódki. No i żeby jeszcze nie przysparzał kłopotów arcybiskupom.

Mariawici znakomicie pasowali do kreślonego w podręcznikach seminaryjnych wzorca "kapłana według serca Bożego" [Mt. 9, 36-37], który był celem działań choćby niedawno wyniesionego na ołtarze bpa Sebastiana Pelczara. Czyżby uważano, że do wzorca trzeba dążyć, ale osiągnąć się go nie da?

W seminariach mówiono, jaki ma być dobry kapłan, ale nie mówiono, co w tamtych realiach trzeba zrobić, by nim zostać. Prezentacja wzorca była o tyle sztuką dla sztuki, że i wykładowcy, i alumni doskonale znali parafialną codzienność. Szkolono sprawnych administratorów nieprzygotowanych do stawienia czoła problemom ich świata. Seminarium nie były kuźniami duszpasterzy - apostołów, były to raczej "zawodówki" dla stróżów teologicznej prawowierności i politycznej prawomyślności.

Jeśli trafiali się księża - społecznicy, to ich zaangażowanie było wynikiem ich przyrodzonej aktywności i wrażliwości - nie formacji seminaryjnej. Dlatego większość młodych duchownych po objęciu parafii gładko "wpassowywała" się w obowiązujący model "bycia proboszczem", czego przejawem była większa troska o dobre relacje z okolicznym ziemiaństwem, niż dbałość o podnoszenie poziomu edukacji religijnej i oświatowej powierzonych sobie ludu.

Nie zapominajmy też o konfliktach pomiędzy wikarymi a proboszczami, którzy mieli obowiązek utrzymywać ich z własnych środków, co nie było łatwe zważywszy na małe pensje rządowe i narzucony cennik usług religijnych. Chory system i ludzkie słabości były powodem wielu przypadków zdzierstwa i innych form łamania norm stanu kapłańskiego, co było źródłem zgorznięcia ludu oraz konfliktów, które wielokrotnie zachodziły tak daleko, że wymagały ingerencji biskupów. I tu pojawia się kolejny paradoks: mniejszym problemem dla kurii byli "źli" kapłani, niż "dobrzy", którzy, jak Mariawici, w całości poświęcili swój czas i siły na rzecz uświęcania parafian...

Mariawici, wspólnota mająca wskazać konfratrom drogi wyjścia na wyżyny posługi duszpasterskiej zostali usunięci z Kościoła, jako heretycy...

Na pewno nie byli heretykami, bo nie wskazano (nawet w kłątwie) wątków *Magisterium* Kościoła powszechnego, które zakwestionowali, naruszyli, bądź zmienili! Społeczność mariawicka jest nadal częścią tegoż Kościoła i, jak myślę, z czasem dojdzie do jakiejś formy przywrócenia wspólnoty. Pytanie tylko jako ona będzie? W pismach Założycielki jest opinia, że ma być jedność w rzeczach do zbawienia koniecznych, w niekoniecznych wolność, a we wszystkim - miłość...

A czy do zbawienia konieczne jest uznanie prymatu papieża i jego nieomylności?

Natrafiłem na wypowiedź abp. M. Michała Kowalskiego sugerującą, że uznawał on prymat papieża, choć pod pewnymi warunkami. Wydaje mi się, że te kwestie są do pokonania. Większym problemem są reformy wprowadzone przez Arcybiskupa, których część w znacznej mierze kształtuje osobliwość doktryny naszego Kościoła...

Naprawdę uważa Pan, że możliwy jest powrót do wspólnoty po kłątwie, po tragedii pogromów, po tylu złych słowach, które padły z obu stron? Z anatemy nie wychodzi się inaczej, jak poprzez wyrzeczenie się przekonań, które spowodowały jej nałożenie...

Widzę dwa wyjścia. Można uznać, że kłątwa nie było, bo została rzucona w sposób nieważny - tak jak można w określonych warunkach uznać za nieważne (czyli nie odbyte) święcenia kapłańskie, czy sakrament małżeństwa. A zbyt wiele wskazuje na to, że papież był wprowadzony w błąd i nie do końca zdawał sobie sprawę z faktycznego stanu rzeczy. Poza tym akt anatemy zawierał wiele błędów formalnych. Wyjście drugie, to kanonizacja bł. Marii Franciszki przez Kościół rzymski...

???

Mówię całkiem poważnie. Jest precedens: Joannę D'Arc, jako "heretyczkę" spalono na stosie, by później ogłosić świętą Kościoła rzymskokatolickiego. Jest nieco podobieństwa między tymi kobietami. Joannie objawiał się Michał Archanioł, a później wdała się wielka polityka i doszło do tragedii. W sprawę mariawicką też wdała się wielka polityka, ale, jak myślę, największym problemem jest fakt, że od śmierci Joanny minęły wieki i dziś mało kto pamięta kontrowersje wokół jej działalności, emocje wygasły, tak jak stos, na którym spłonęła, a teraz jaśnieje na ołtarzach Kościoła, który ją niegdyś odrzucił. A od potępienia *Dziela Wielkiego Miłosierdzia* minął ledwie wiek. To mało...

... związki z mariawityzmem spowodowały, że o. Honorat pół wieku czekał na kanonizację...

... a do tego, z niedawno odnalezionych listów Marii Franciszki do o. Honorata, wynika, że od samego początku wiedział o jej objawieniach, co zachowywał w tajemnicy...

To tylko zapętlą sytuację. Bo czy jest przestrzeń, by obok tak intensywnie dziś promowanego kultu Bożego Miłosierdzia propagować przesłanie Dzieła Wielkiego Miłosierdzia? Czy Kościół katolicki byłby skory uznać, że było ono prawdziwym orędziem Boga, którego wiek temu Kościół nie pojął i odrzucił?

Kiedy zaczęto publikować *Dzienniczek* s. Faustyny mój dziadek powiedział: "Przecież ona wszystko przepisała od naszej Mateczki!". A czy Kościół początkowo nie odniósł się z wielką rezerwą do objawień s. Faustyny? Nie skrywał ich, nie cenzurował, nie badał intensywnie, by (po wielu perturbacjach) uznać ich Boskie źródło? Dlaczego nie był tak konsekwentny w przypadku objawień Marii Franciszki, choć w nich także nie było nic przeciwnego Objawieniu Bożemu? Czy rzecz jest tylko w tym, że s. Faustyna przystała, by ks. Sopoćko "filtrował" treść Bożych pouczeń i wskazówek? Pytań jest więcej, ale w moim głębokim przekonaniu problemem bardzo trudnym do rozwiązania jest nie tyle uznanie prawdziwości *Dziela Wielkiego Miłosierdzia*, co ustalenie relacji między nim, a *Dzienniczkiem*.

W objawieniu z 1918 r. Maria Franciszka miała ukazane ustanie ofiary Mszy Świętej w Kościele rzymskim i to dopiero jest herezja...

Przeżycia mistyczne są wizjami, których sensu nawet osoby ich doznające czasami nie potrafią do końca pojąć i zinterpretować. Zresztą Maria Franciszka nie ukrywała, że nie pojmowała części z tego, co było jej dane usłyszeć od Chrystusa. Zrozumienia przychodziły z czasem, dlatego nie można spieszyć się z interpretacją. Przykład: wielu mistyków

miało wizje Męki Pańskiej. Jedni widzieli, jak gwoździe wbijano Jezusowi w nadgarstki, inni, że w kciście dłoni... Jak było rzeczywistość, które z wizji są prawdziwe? Kościół, nie rozstrzygając sprawy, uznał, że najważniejsza jest treść wizji, a nie jej detale... Podobnie jest z interpretacją Apokalipsy, której wizje smoków, zjaw i kataklizmów są niczym z powieści Tolkiena, a dla Dänikena prorocтво Daniela jest dowodem odwiedzenia ziemi przez istoty z innych cywilizacji...

Sto lat temu społeczność mariawicka została wyłączona z Kościoła, a od trzech lat toczy się dialog międzykonfesyjny, którego celem jest..., co?

To trudne pytanie. Każdy dialog ekumeniczny ma za cel poznanie i klasyfikację różnic, uzgodnienie stanowisk w kwestiach spornych, ale też określenia przestrzeni wspólnej. Cóż, celem tego dialogu, jak myślę, nie jest zawarcie jakiegoś kompromisu - bo to nie jest ekumeniczne. Ponieważ jednak zdecydowanie więcej nas łączy, niż dzieli, może dobrym celem byłaby interkomunia... Innym ważnym obszarem jest edukacja obu społeczności, zbliżanie ludzi do siebie. Myli się jednak ktoś, kto uważa, że to zbliżenie uda się zadekretować, nakazać listami pasterskimi. Owszem, trzeba dać jakiś impuls, ale reszta musi odbywać się z nieprzymuszonej woli.

Mariawici są społecznością mało zauważalną. Dobrze byłoby, gdyby jakaś znacząca część mieszkańców Łodzi, Płocka czy Mińska Mazowieckiego wiedziała, że w ich miastach są kościoły mariawickie, że żyją "jacyś mariawici". Ale nie ma żadnej nadziei, że nawet ci będą znać różnice pomiędzy katolicyzmem a mariawityzmem, znać zasady wiary, praktyki religijne - *to terra incognita!* A niewiedza jest idealną pożywką dla plotek, przekłamań i kłamstw.

Sam słyszałem, jak pewna mińszczanka (katoliczka) opowiadała znajomej, że na mariawickim kościele jest napis: "Mateczko Kozłowska, módl się za nami". A przecież wystarczyło przejść kilka ulic i zobaczyć, jak jest w rzeczywistości...

Łatwiej byłoby pokonać różnice instytucjonalne, niż mentalne...

Nie jest łatwo nakłonić ludzi do zmiany przekonań, nawyków, stereotypów... Myślę, że wielu mariawitów miałyby opory przed przyjmowaniem Najświętszego Sakramentu pod jedną postacią, bo wzrosła z tradycji komunikowania pod dwiema postaciami - ta praktyka jest częścią naszej tożsamości wyznaniowej. Ich nie interesowałyby teologiczne uzasadnienia: jeśli przyjmujemy do serca Ciało i Krew Chrystusa Pana, to ma być Ciało i Krew, czyli komunikant musi być zanurzony w winie...

W Krakowie, gdzie mieszkam, mariawici są postrzegani jako swoisty "smaczek" i dlatego na nasze nabożeństwa przychodzą osoby z życzliwej ciekawości. Ale też są to ludzie o dużym wyrobieniu ekumenicznym. Co nie jest cechą naszego regionu, Podlasia, gdzie nawet duchowni katolicy, miast dawać przykład, unikają kontaktów z naszymi kapłanami. Z tego względu i śmieszny, i irytujący sytuacja, gdy o jedność chrześcijan np. mińscy katolicy modlą się u siebie, jakby nas nie było...

Ale czegoż się spodziewać, gdy duchowni katolicy bez zażenowania mówią o mariawitach - sekciarze, a powrót do jedności wyobrażają sobie jako pokorny powrót pod jurysdykcję papieża...

Wiem o tym, ale to specyfika środowisk, gdzie tzw. innowiercy są w mniejszości. Tam, gdzie są liczni i gdzie trzeba liczyć się z nimi, sytuacja jest zgoła inna. Na przykład arcybiskup białostocki na pewno nie może sobie pozwolić na przytoczone przez ciebie opinie... I nie tylko wobec prawosławnych...

+++